



PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie

Kwartalnie. rs. 1.
Za odnośnienie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 17 Października 1892 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Panna Melania, powieść przez St. M. Rzętkowskiego (ciąg dalszy). — Z wycieczki do Wiednia. — Z dziedziny nauki i wynalazków. — Piśmiennictwo. — Sybilla, powieść przez F. C. Philips i C. J. Wills, przekład Zofii Grabowskiej (ciąg dalszy). — Z tygodnia. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. — W dodatku: Nierozłączni, powieść przez Janinę Mairé (arkusz 6).

PANNA MELANIA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

St. M. Rzętkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Wacław istotnie zaniedbywał obowiązek odwiedzania państwa Grundstejnów, pewnym będąc, że w ich domu zamożnym w sprawie zdrowia mieszkańców dzieje się wszystko jaknajlepiej. Od pewnego czasu nawet zwykłe migreny pani Grundstejnowej ułagodziły się bardzo i coraz wyrozumialej traktowały jej okazały organizm. Młodsza panna, dziewczę nerwowe i bardzo kapryśne, wyjechała na kilka tygodni z ciotką za granicę, z tej więc strony nie nagięło nic, sam zaś papa Grundstejn mawiał o sobie, że nie choruje nigdy, ma bowiem za dużo zajęć, a zamało swobody. Pozostawała więc tylko panna Izabela, od pewnego czasu niedomagająca i uskarżająca się ciągle — na co? Wacław zmiarkować nie mógł. Były to jakieś dziwne symptomata, niedające się podciągnąć pod żaden typ chorobowy, rozrzucone, sprzeczne, nieuchwytne.

Panna skarżyła się na niepokój nerwów, serca, głowy, na Bóg wie nie co.

Skonfudowany u senatorowej za niepamięć, młody lekarz zaraz nazajutrz pośpieszył do Grundstejnów i zastał tylko samą pannę Izabelę. Jako lekarz, miał prawo nie liczyć się z konwenansem i wszedł, powitany przez nią bardzo uprzejmie.

— Przeczucie pana sprowadza najwidoczniej! — zawołała wesoło. — Jestem chora, jestem bardzo chora! Nie mogłam nawet puścić się na przejażdżkę poobiednią... może także dzięki przeczuciu.

Pociągnęła go ku sofce i posadziła obok siebie.

Wacław spoglądał na nią badawczo przez chwilę, a potem rzekł z uśmiechem:

— Zdaje mi się, że odgaduję niebezpieczeństwo. Od pewnego czasu jesteś pani na gościńcu, wiodącym prościutecznie do... chypochondryi. Świadczy o tem najwymowniej róża na twarzy, gwiazdy w oczach i uśmiech, pełen zdrowia, w sprzeczności z tem, co pani mówi.

— To znaczy?...

— Że znudziło się pani być zdrową i racyzysz szukać rozmaitości.

— Dobrze więc, badaj mnie pan! Oto mój puls — zawołała wesoło, podając mu rękę.

— Najnormalniejszy pod słońcem.

— Mam gorączkę.

Potrzymał przez chwilę jej dłoń i puścił ją z uśmiechem.

— Ani śladu. Cóż dalej?

— Jestem wciąż niespokojna... mieszkam przywidywania, unikam ludzi, nudzę się!

Wacław powstał i spojrzał na nią z udanym niepokojem.

— To źle, bardzo źle! Trzeba się leczyć.

— A jak?

— Hydropatją, ruchem, zajęciem, pracą.

Panna z niechęcią odrzuciła główkę i z dąsem a zpod oka rzuciła mu spojrzenie udanego gniewu.

— Hydropatją panu daruję — odparła po chwili, — ruchu mam dosyć, a o zajęcie i pracę proszę.

— Pomyślę nad tem — rzekł niby z powagą. — W tej chwili nie wiem, co by mogło najbardziej utrudzić moją despotyczną pacjentkę, która te tylko środki gotowa aprobować, jakie jej przypadną do gustu.

— Prosiłam pana o...

— O co?

Zawahała się i dodała:

— O adres osoby, o której wspominała mi panna Bosińska.

— Czy to ma być lekarstwo?

— Nie, to ma być zajęcie, ruch, praca!

— Nie rozumiem.

— Tak się panu trudno domyśleć, że potrzebuję zająć się kimś, serdecznie, gorąco, całą duszą! On milczał i usiadł znów obok Izabeli.

— Siostra pańska mówiła mi, że te panie warte są zainteresowania się niemi. Wnuczka ma być bardzo ładna... czy to prawda?

— Nie umiem na to odpowiedzieć, jestem bowiem tylko lekarzem.

— Pragnęłabym ją bardzo ujrzeć!

— To rzecz niemożliwa. Panie te nie przyjmują nikogo... Chora potrzebuje zupełnego spokoju. Żałuję bardzo, że komukolwiek o nich wspominał,

bo naraziło ich to na przykrość. Odtąd milczę jak grób.

— Szanuję ciszę tego grobu i nie zapytuję więcej. Mówmy o czym innym. Czy pan zauważył, że panna Bosińska od pewnego czasu zmieniła się? Jest smutna, unika ludzi, milczy... także jak grób, i nie garnie się już tak skwapliwie jak poprzednio do czynu. Domyślam się jakiegoś zniechęcenia, ale nie odgaduję przyczyny.

— Nie spostrzegłem tych symptomatów, które pani wylicza. Od dnia dzisiejszego postaram się uważać. Myślę jednak, że zmiana to chwilowa usposobienia, które stale pogodnym być nie może.

— I sądzi pan, że to przejdzie?...

— Wszystko przechodzi.

— Wnosićby można z tego, co pan mówi, że panna Melania jest okazem najzwyczajniejszej pospolicności, która podlega łatwo wpływom... pogody, otoczenia, humoru.

— Nie powiedziałem tego.

— Tymczasem potrafi ona panować nad sobą, a co więcej zapominać o sobie, ma bowiem tyle rozum, ile szlachetności i dobroci.

— Nie przeczę.

— My zresztą, kobiety, nie lubimy zmienności, która wyprowadza nas z równowagi... wdzięku — dodała wesoło i żartobliwie, — a panna Bosińska ma wdzięku dużo, bardzo dużo. Nieprawdaż?

— Zapewne.

— Uchodzi za piękność. Nie czaruje od pierwszego spojrzenia, ale jestem tego pewna, że raz zwróciwszy uwagę na siebie, nigdy już zapomnienia obawiać się nie potrzebuje. Chyba że trafi na kogoś, co zapomina łatwo.

Wacław nie odpowiedział nic. Panna uczyła się w kłopotcie, rozumiejąc że rozmowa, dalej w tym tonie prowadzona, wydałby mu się mogła indagacją, zarówno niezręczną jak podejrzaną. Przeszła więc do innego przedmiotu, starała się być wesołą, dowcipną i odchodzącego lekarza pożegnała tak, jakgdyby się spodziewała ujrzeć go naza, utr.

A gdy wyszedł, zadzwoniła natychmiast i do wygalonowanego sługi rzekła:

— Mój Tomasz, weź dorożkę i udaj się tam, gdzie był przed kilku dniami z posyłką i listem. Nie mów kto cię przysyła, spytaj się tylko o zdrowie panienki i powiedz, że czuwa nad nią ktoś, kto poznany być nie chce.

Służący skłonił się i wyszedł.

Panna Izabela przez chwilę spoglądała w zamyśleniu na drzwi, które się oddaliły, a potem rzekła półgłosem do siebie samej:

— Tak będzie najlepiej! Zabawni są ze swoją tajemniczością. On szczególnie... Nie wiedział, że kilka słów wypowiedzianych w uniesieniu i zapomnieniu mogło wystarczyć mojej domyślności. Poznać ją muszę, aby czuwać...

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z WYCIECZKI DO WIEDNIA.

LIST III.

Żegnając ostatniem wejrzeniem piękną stolicę Austro-Węgier, cudzoziemiec rzuca mimowoli jedno pytanie:

— Czem był Wiedeń przed kilkudziesięciu laty? Wszystko bowiem, co pociąga tu tłumy, wszystko co nęci wspaniałością, artyzmem, pomnikową budową, bogactwem i pięknem, wszystko to błyszczy jeszcze świeżemi farbami, a olśniewa nieprzeciętnym blaskiem złota.

Prócz takich, słynnych w świecie całym, budowli, jak katedra Ś-go Szczepana, lub bez porównania mniej piękny, lecz lubiony przez Wiedeńczyków Karlskirche, prócz wspaniałych i bogatych zbiorów we wszelkich gałęziach ludzkiej wiedzy i sztuki, nie zobaczysz tu jednego wybitniejszego gmachu, którego ściany nie błyszczałyby nowością.

Wiedeń wspaniały, Wiedeń artystyczny, bogaty, a pokazywany z dumą cudzoziemcom, koncentruje się na jednej, jedynej ulicy.

Wprawdzie ulica ta obiega półkołem cały środek miasta i nosi kilka nazwisk, wprawdzie dla przebieżenia owego pierścienia, Ringiem zwanego, potrzeba trzech kwadransów czasu, lecz niemniej, gdy odejmiemy ulicę tę, która przed trzydziestoma laty jeszcze stanowiła wały podmiejskie, prysnie cały Wiedeń współczesny, europejski, w pozory magnata przybrany. Pozostanie miasto wewnętrzne, piękne na swój sposób, bogate, skupione, lecz tak dalekie od sztuki, iż noga cudzoziemca, o ile nie jest malarzem studiującym galerye, za interesem chyba zabłąkałaby się tutaj.

Nie wątpię też, że owe Ringi wspaniałe, Ringi okrzykane, z chwilą śmierci obecnego cesarza jego otrzymają imię, on to bowiem stworzył je i z nicości podźwignął. Pojedyncze zato części tej przepysznej ulicy należałoby nazwać mianem tych architektów, którzy dzielą z Franciszkiem Józefem zaszczyt dźwignienia tej dzielnicy.

Jakaby w tem wszystkiem grały rolę ludy monarchii, które na ową artystyczno-magnacką zabawę dostarczyły dziesiątek, setek, nawet milionów guldenów — nie wiem. Za pociechę może im tylko posłużyć przekonanie, iż miliony te zostały w kraju, że tysiącom dały zarobek, a zużywając płody miejscowe, wytworzyły ze stolicy państwa miasto, które monumentalnością współczesnych budowli do najwspanialszych w Europie należy.

Kto nie był w Wiedniu lat parę, ten nie poznałby go. Corok bowiem przybywają tu pyszne gmachy, co dwa lub trzy odsłaniają na widok publiczny poematy istne ze złota i marmurów, w stylu Odrodzenia zrodzone.

Pyszniejszym jeszcze poematem są w kamieniu kute, ostrołukowe wieże gotyckich gmachów i świątyń. Nie chce się wierzyć prawie, aby to były dzieła z ostatnich lat dziesiątków. Zdaje się, że duch czasów zamierzających położył na nich swe piętno; że tylko epoką średniowiecznego mistycyzmu i wiary głębokiej, w niebo biegnącej, mogła obok katedry Ś-go Szczepana stworzyć taki Votivkirche, że tylko cierpliwe ręce niewolników, życie całe nad tem trawiących, zdołały wyżłobić, wykuć kamienną koronkę, zdobiącą wieżę nowego gotyckiego ratusza.

Ale pieniądz to potęga, silniejsza nad syzyfowe trudy niewoli.

Budowa zaś owego ratusza i jego 100 metrowej koronkowej wieży pochłonęła 15 milionów guldenów.

Wspaniałym jest gmach ten gotycki, wewnątrz niezupełnie jeszcze wykończony, a tak wielki, iż pięć dziedzińców obejmuje. Freski, marmury i złocenia, sale posiedzeń przez parę pięter wzniesione, materye, aksamity i rzeźby łączą się w jedną całość. Rajcy miasta Wiednia w magnackich obracają się ramach. Galerye, mieszczące wizerunki mężów zasłużonych, zbiory broni, biblioteka olbrzymia, wszystko to mówi im o chwale przeszłej. Do energii zaś, do patryotyzmu zagrzewa wielkie popiersie, pomnik nieledwie hr. Salma, umieszczony w sali obrad. Tak, Wiedeń raz tylko był broniony od nawały tureckiej, i to broniony przez Niklasa Salma, w 1529 r. Co się działo w półtora wieku później, kto wtedy ocalił mury stolicy ich, o tem Niemcy nie chcą pamiętać. We wszystkich więc nowych, nowiutkich gmachach, ceną milionów wznoszonych, hr. Salm jedynie uwieczony bywa.

Spotykamy zatem pomnik jego i to pomnik olbrzymi, w przepysznym a także niezupełnie jeszcze wykończonym Votivkirche.

Wzniesiona z marmuru i kamienia tylko, a strzelająca w niebo najczystszyimi łukami gotyku, świątynia ta, w półmroku szyb kolorowych, tajemnicze rzucających światło, wydaje się schronieniem przed burzami świata, modlitwą mistyczną, w kształty budowy zakłątą. Wrażenia tego, spokoju i harmonii boskiej konturów nic tu nie ma. Kościół pusty jest w środku. Wzniesiony na pamiątkę ocalenia cesarza od zamachu, fakt ten zaznacza tylko tablicą, w przedsionku umieszczoną. Wewnątrz nic, nic, prócz łuków ku górze biegnących, prócz tajemniczych refleksów światła, prócz ciszy, skupienia i jakiegoś lęku, opanowującego mimowoli.

Zanim jednak dreszcz trwogi i zachwyty cię przejmie, zanim oko po liniach wysmukłych, hen, w górę podaży, wzrok twój zatrzyma się na lewo, na wielkim sarkofagu, i przykutym już do niego zostanie. Bryła bowiem bezkształtna, szpetna i ciężka, a żelaznemi prętami otoczona, zadziwia cię w tem miejscu, wśród podniosłego poematu, wykutego w kamieniu.

Kto jest — pytasz, — ten, dla którego naród wznoszący świątynię zrobił ustępstwo, dla którego cud architektoniczny oszpecił równie niezdarną pamiątką? To chyba Zbawca sam, boż Zbawcy kościół ofiarowano w podzięce?

Tak, to zbawca, lecz nie ludzkości, ale Wiednia. Tam, gdzie Zbawiciel nie ma jeszcze ołtarzy, posiada je już hr. Niklas Salm, obrońca naddunajskiej stolicy, a pogromiciel tureckiego najazdu.

Patrząc na hołd ten, przychodzi myśl mimowoli, iż wśród kół bogatych, tysiącami rzucających, powinni się znaleźć tacy, którzyby dopomogli słabej pamięci Niemców. To tak łatwo! Należałoby tylko po prawej stronie nawy, jako uzupełnienie, postawić drugi pomnik, święcąc go pamięci Jana III, późniejszego obrońcy tegoż Wiednia.

Cały Votivkirche powstał z groszowych składek; czyby na pomnik ich zabrakło?

Idźmy jednak dalej. Wszak dzielnica to samych cudów budowniczych, samych gmachów „z igły zdjętych.” Może który z nich pamięta i inne pogromy tureckie.

Oto nawprost świątyni, olbrzymi, w kwadrat zbudowany, a wspaniały pałac w stylu włoskiego Odrodzenia, poświęcony wiedzy ścisłej. To uniwersytet o przepięknym portyku i majestatycznych, ponad

nim wzniesionych schodach, obszernych aulach i największej bibliotece w Austrii. Przed poważną włoską fasadą, przez barona Fersela wzniesioną, dźwiga się znów pomnik olbrzymi, na kamiennym obelisku wsparty. Szczyt kolumny wieńczą lew i sztandary wojskowe. Poniżej medalion w brzoźnie odlany, a poświęcony jeszcze jednemu obrońcy Wiednia.

Zbliżam się i czytam chciwie.

Obelisk wzniesiono ku pamięci burmistrza Liebenberga. On Turków rozgromił, on ocalił przedmurze chrześcijaństwa!

Zamiłowanie cesarza Franciszka Józefa w budownictwie większem jest, niż jego pamięć historyczną. Zanim więc Wiedeń odszuka dla uwiecznienia ich kilku jeszcze swoich obrońców i pogromicieli tureckiej nawały, rzućmy okiem na najnowsze ozdoby wspaniałych, bogactwem lśniących Ringów.

Prócz pałacu Sprawiedliwości, prócz giełdy, której wzniesienie pochłonęło również miliony, przykuwa oczy pyszny gmach parlamentu. Portyk o greckich kolumnach imponujące czyni wrażenie. Łączy on niższem skrzydłem dwie budowle kwadratowe, przyozdobione licznymi grupami i posągami. Sale posiedzeń marmurem wykładane, we freski ugoty zdobne, a na kolumnach z Karrary oparte, są uosobieniem powagi i przepychu.

Nie tu jednak koniec gmachów nowych. Pan Bóg (Votivkirche), przedstawiciel narodu (parlament), kupiectwo (giełda), mieszczaństwo (ratusz), otrzymali już stosowne, monumentalne przybytki. Teraz przyszedł kolej na sztuki piękne, na zbiory naukowe i muzeę lepszą.

Stają więc olbrzymie dwa czteropiętrowe muzea, a bogatych zarysach Odrodzenia, z całą jego plastyką, w marmurze i złocie tonącą. Prawe obejmuje zbiory przyrodnicze, lewe, wspanialsze jeszcze, rzeźbę i malarstwo. Wejście samo stanowi obraz tak piękny a harmonijny w całości i szczegółach, że jest ono najpyszniejszym już i najkosztowniejszym dziełem sztuki. Oczu nie można oderwać od tych barw, w bań tęczową zaklętych. A dalej na ścianach, wśród galerij wszystkich szkół i czasów, ileż klejnotów! Z naszych obrazów spotkałem tu tylko „Retjana” Jana Matejki. W ponurej grozie swej przykuwa on tych nawet, którzy, jako cudzoziemcy, znaczenia sceny nie rozumieją; przykuwa i czaruje siłą a potęgą, niemniejszą od arcydzieł otaczających go mistrzów.

Porzucmy jednak klejnotów, niezapomnianym jaśniejącym blaskiem, i kończmy przegląd Ringów. Po sztuce poważnej, wzniesiono świątynie Talii i Melpomenie. Obok więc słynnej a nowej również Opery, stanął teatr nadworny (Hofburgtheater), którego foyer, oraz schody, salony i loże cesarskie, olśniewają literalnie harmonią artystyczną, złotem i bogactwem.

Po tylu gmachach, zadośćuczyniwszy wszystkim stanom, złożywszy cześć Bogu i małym bożkom, co miał cesarz Franciszek Józef budować dalej? Rzecz prosta, iż zamek dla siebie. I oto Burg nowy, pod dach już wymurowany, za dwa lata wykończony zostanie. Co jednak wtedy doradzą panowie architekci? Wszak całe Ringi zapełnione już zostały „poematami ze złota i marmuru?” Czybaż więc Wiedeń rozszerzyć przyjdzie, znacząc schyłek bieżącego stulecia jako epokę podwójnego jego przepychu i rozwoju.

Anatol Krzyżanowski.

Z DZIEDZINY NAUKI I WYNAŁAZKÓW.

Kiwi i nieco o ptakach wymarłych i wymierających. — Piąty księżyc Jowisza. — Nowy rodzaj naczyń drewnianych do rozmaitych użytków domowych.

Wciążu bieżącego roku nabyto dla Ogrodu zoologicznego w Berlinie parę ciekawych ptaków, pochodzących z Nowej Zelandyi, znanych tam pod miejscową nazwą *Kiwi*, a przez zoologów zaliczanych do rodzaju *Apteryx*, co można wyrazić polskim wyrazem bepiórnik. Ptaki te, z wielu względów ciekawe, a obecnie już wymierające w swojej ojczyźnie, raz tylko dawniej były przywiezione żywcem do Europy i przez czas jakiś hodowane w Ogrodzie zoologicznym londyńskim. Komu się zdarzy zwiędzić ten prawdziwy raj zwierzęcy, albo raczej to wytworne i wzorowo urządzone więzienie, które stworzono dla obcych zwierząt w Berlinie, temu radzimy odszukać tam owe bepiórniki, które bez tego ostrzeżenia nie zwróciłyby na siebie jego uwagi, a które przecież warte są bliższego poznania.

Kiwi przedstawia cztery znane dziś gatunki, które jednak niewiele od siebie się różnią. Jest to ptak zbliżony wielkością do kury, z bardzo długim, zlekka zakrzywionym dziobem, podobnym do dzioba naszych bekasów, i z silnymi nogami, z których każda kończy się czterema palcami. Jego skrzydła w porównaniu ze skrzydłami innych ptaków są zupełnie zwyrodniałe i wcale nie służą do lotu, a pojedyncze pióra są raczej podobne do włosów, niż do piór zwyczajnych.

W okolicach zaludnionych Kiwi został już całkowicie wytępiony, niema go więc wcale w Nowej Zelandyi, na wyspie południowej, zamieszkałej dziś wyłącznie przez osadników europejskich, a na północnej napotyka się już tylko w miejscowościach leśnych i bezludnych. Ptaki te prowadzą życie nocne; podczas dnia kryją się po rozmaitych dziurach w ziemi, najczęściej pod korzeniami wielkich drzew, a w nocy wychodzą na żer, który się składa z owadów, gąsienic, robaków i nasion roślinnych. Żyją parami, a zapomocą silnych swoich nóg mogą bardzo szybko biegać i skakać, skutkiem czego, choć są pozbawione lotu, niełatwo można je schwycić, zwłaszcza przy ich nocnym sposobie życia. Maorisowie, t. j. krajowcy Nowej Zelandyi wabią je nocami, naśladując ich głos; ptaki się wtedy zbierają i do tego stopnia zostają ogłupione blaskiem pochodni, że można je wówczas zabijać kijami, lub nawet chwycić rękami. Układają także do polowania na Kiwi i psy, które wraz z kotami są najniebezpieczniejszymi po człowieku wrogami tych ptaków. Jedyną bronią odporną bepiórników są ich mocne nogi, które mogą silnie uderzać z tyłu ku przodowi. Biegają bez żadnego szelestu, tak że ich wcale nie słychać; wyszukując robaków w miękkiej ziemi, posuwają się naprzód bardzo wolno, ale ustawicznie uderzają dziobem w ziemię, pograżając go aż do samej osady, i prawie za każdym razem wydobywają zdobycz.

O sposobie rozmnażania Kiwi przez długi czas nie posiadano prawie żadnych wiadomości. Webster pisze, że pewien krajowiec nowozelandzki znalazł jednego razu pod korzeniami drzewa jajko Kiwi, a następnie wydobył z jamy i samego ptaka. Krajowiec ten zapewniał, że Kiwi w wygrzebanym do-

ku składa tylko jedno jaje, zwykle w suchym gruncie, i okrywa je liśćmi i mchem, które, gnijąc, wytwarzają ciepło dostateczne do wylęgu, na co potrzeba około sześciu tygodni czasu, oraz że dopiero po wykluciu się pisklęcia matka zaczyna się niem opiekować. Spostrzeżenia robione w Londynie nie zgadzają się z powyższem podaniem. Tam samica, która naprzód przybyła sama jedna do ogrodu, znosiła co trzy miesiące po jednym jajku, usiłowała wysiedzieć je sama i niełatwo pozwalała się z niem rozłączać. Potem, kiedy sprowadzono i samca, samiczka tylko przez jeden dzień siedziała na pierwszym zniesionem jajku, poczem w tej czynności zastąpił ją samiec; drugie zaś jajko musiał on wysiadywać wyłącznie sam. Siedział on na niem przez trzy miesiące i następnie porzucił zupełnie, wyczerpany z sił, a jajko pozostało niezależnięte. Jajko jest bardzo duże; waga jego wynosi czwartą część wagi całego ciała samiczki.

Ptaki żyjące w Ogrodzie zoologicznym wciąż dnia chowają się pod słomę, którą im dają na podściółkę, po zachodzie słońca ożywiają się, zaczynają biegać wokoło klatki i, sapiąc, szperać po wszystkich kątach. Za pożywienie dają im tam serca z owiec i bydła i dżdżowniki, czyli tak zwane glisty ziemne.

Długo różnili się zoologowie pod względem miejsca, jakie zajmuje Kiwi w układzie ptaków. Brem zalicza go do ptaków bekasowatych, inni umieszczają go obok strusiów, a zatem w zupełnie odmiennym rzędzie. W ogólności, podług budowy mostka, czyli kości piersiowej, ornitologowie dzielą wszystkie ptaki na dwa oddziały. U jednych na kości piersiowej znajduje się prostopadły do niej, mniej lub więcej wysoki grzebień, do którego przytwierdzone są sine mięśnie piersiowe, służące do poruszania skrzydeł, co możemy na przykład widzieć u kur i gęsi.

Szkielet, posiadający taką kość piersiową, zwęża się od tyłu ku przodowi i przedstawia kształt przypominający czółno; z tego powodu ptaki z taką kością piersiową nazwano czółnowatymi i do nich należy największa liczba gatunków. U innych niema wcale owego grzebienia, a wtedy żebra wraz z kością piersiową stanowią jakby rodzaj promu, którego ta kość jest niby podłogą; takie ptaki nazwano promowatymi. Do tego oddziału należą tylko ptaki biegające, zupełnie pozbawione lotu, jak na przykład strusie właściwe, strusie amerykańskie czyli reje, kazuary i t. p. Wszystkie ptaki promowate mają wiele cech wspólnych, a mianowicie zamiast prawdziwych piór, mają one tylko pióra niedokładnie wykształcone i podobne do luźno wiszących włosów, dalej przednie ich kończyny nie rozwijają się w skrzydła, jak u ptaków czółnowatych, ale prawie zanikają, a zato tylnie, czyli nogi, bywają mocno rozwinięte i silne; nareszcie kości tych ptaków zawierają w sobie mało kanałów i zbiorników powietrznych i dlatego ciało ich stosunkowo jest ciężkie.

Otóż Kiwi posiada wszystkie te cechy, a nadto nie ma on wcale obojczyków, które u ptaków czółnowatych zrastają się razem ze sobą i tworzą dobrze znaną wszystkim kość widełkowatą (jest to ta kostka, którą, wyjąwszy z kurczęcia, rozłamują dla zabawki dwie osoby, próbując która będzie szczęśliwsza). U ptaków promowatych ta kość nie bywa nigdy rozrośnięta normalnie; oczywiście więc dla wszystkich wymienionych powodów wypada zaliczyć Kiwi do ptaków promowatych i umieścić go w jednym rzędzie ze strusiem.

Ptaki promowate, dziś małowielkie i zwłaszcza w dzikim stanie coraz rzadsze, w ubiegłych epokach ziemi odgrywały na niej daleko ważniejszą rolę niż

obecnie, a w ich liczbie były gatunki odznaczające się olbrzymim wzrostem. Jeszcze przed kilkoma setkami lat żyły na Madagaskarze i na wyspach Nowej Zelandyi prawdziwe olbrzymy ptasiego rodzaju, na trzy metry wysokie, z potężnymi jak u słońów nogami, z którymi niegdyś dawni Maorisowie mieli staczać zacięte walki, uwiecznione w ich pieśniach bohaterskich, dopóki ich wkońcu nie wytępili.

Słynny podróżnik średniowieczny, Marco Polo, opowiada że Wielki Mogoł tatarski wyprawił do Madagaskaru posłów, którzy przywieźli ztamtąd pióra długie na 70 pędzi. W XVII wieku przybyli kupcy z Madagaskaru na wyspę Isle de France po rum, który zabrali w wielkie naczynia, wyrobione z olbrzymich jaj ptasich. Mówili oni że jaja te znajdują się u nich w sitowiu, w którym można widywać znoszące je ptaki. Gabinet zoologiczny w Paryżu posiada pięć sztuk tych jaj, z których każde może w sobie pomieścić 10 litrów płynu i wyrównywa wielkością 150 jajom kurzym (litr mieści w sobie mniej więcej cztery zwyczajne szklanki). Odnaleziono szczątki kilku rodzajów tych olbrzymich ptaków, które zapewne dały powód do bajek wschodnich optaku-górze, czyli Roku z Tysiąca i jednej nocy.

Wszystkie te olbrzymy wyginęły bezpowrotnie, a Kiwi, pogrobowy ich krewniak, już także szybko wymiera. Dlaczego? Na to pytanie nie umiemy dać zupełnie dokładnej odpowiedzi. Zapewne głównym powodem zanikania pewnych gatunków jest wprowadzanie do ich ojczyzny obcych zwierząt, z którymi tamte, bardziej upośledzone, czy to fizycznie, czy intelektualnie, nie mogą wytrzymać walki o byt, zwłaszcza przy zmienionych skutkiem kolonizacji warunkach życia. Jest to zresztą ogólne prawo przyrody, stosujące się zarówno do roślin, jak do zwierząt i nawet do ludzi, że po osiedleniu się w danej miejscowości nowych gatunków lub plemion, przybysze ci rozradzają się prędko, a dawni tubylcy ustępują coraz bardziej przed obcym najazdem i prędzej lub później wymierają zupełnie. Oczywiście najłatwiej ulegają takiemu losowi gatunki najgorzej wyposażone przez przyrodę, najmniej uzdolnione do walki o byt. Otóż owe zaginione gatunki ptaków, jak i nasz Kiwi, zajmowały pod względem warunków życia fizycznego i zdolności umysłowych niekorzystne stanowisko w świecie zwierzęcym i dlatego musiały ulegać i zniknąć.

Jeszcze z jednego względu Kiwi zasługuje na szczególną uwagę. Według mniemania najznakomitszych zoologów współczesnych był taki czas, w którym na ziemi wcale jeszcze nie było ptaków, ale żyły już gady. Pomiedzy nimi były niegdyś gatunki jaszczurek, jak na przykład Iguanodon, które chodziły na tylnich łapach, a przednich używały do chwytania, niby rąk; były także inne, jak Compsognathus, które już wcale nie miały przednich kończyn i posiadały dziób podobny do ptasiego. Taki Compsognathus, gdybyśmy tylko odjęli mu myślą jego długi ogon, byłby bardzo podobny do owego olbrzymiego ptaka, który żył niegdyś na Madagaskarze i nazywał się *Moa*, o którym wspominaliśmy powyżej, i to nie tylko z powierzchownego wyglądu, ale i ze szczegółów budowy anatomicznej, o czym możemy sądzić ze znalezionych w ziemi szczątków obu tych gatunków zwierzęcych. Otóż nowi zoologowie twierdzą, że najdawniejsze ptaki, a mianowicie promowate, powstały z powolnego i stopniowego przekształcania się owych zaginionych gadów jaszczurkowatych, pod wpływem zmieniają-

cych się warunków istnienia i w ciągu niezmiernie długich okresów czasu.

Tym sposobem i nasz Kiwi, należący także do promowatych i krewniak owego *Moa*, byłby również jednym z najstarszych gatunków ptasiego rodzaju. Potwierdza to i jego odzież puchowa, która u wyższych ptaków istnieje tylko w dzieciństwie, a u niego pozostaje na całe życie, równie jak i mała inteligencja, która zapewne jest jedną z przyczyn jego wymierania, jak była jedną z przyczyn wytępienia pokrewnych mu, zaginionych gatunków.

Zakończymy jedną jeszcze uwagę. Wielka to szkoda dla nauki, kiedy jaki gatunek zwierzęcy wymiera, i dzieje się przez to krzywda przyszłym badaczom, którzy będą mu się mogli przyglądać tylko na martwych okazach, przechowanych w gabinetach, dopóki i te okazy po setkach lat nie ulegną ostatecznej zagładzie.

A takich wymierających gatunków jest dziś niemało. W samej Nowej Zelandyi, która odznaczała się i dotąd jeszcze odznacza wielką osobliwością swoich ptaków, nie tylko Kiwi, ale i kilka innych gatunków zbliża się szybko do ostatecznej zagłady. Uczni już oddawna domagali się dla nich szczególnej opieki rządów w celu zachowania ich dla przyszłych pokoleń ludzkości. Zauważono, że na mniejszych wyspach gatunki zachowują się daleko bezpieczniej i dłużej, niż na wielkich przestrzeniach lądu. Otóż na wniosek byłego gubernatora Nowej Zelandyi, lorda Onslowa, izby sejmowej tej osady przeznaczyły na schronienie wymierających gatunków ptasich dwie wysepki: Little Barrier na północy i Resolution Island na południu, posiadające warunki odpowiednie dla ich życia. Na tych wysepkach nie wolno jest nikomu tępić tych ptaków, a wyznaczeni dozorczy mają rozciągać nad nimi opiekę i przedsięwziąć środki dla ich zachowania. Można tylko przyklasnąć temu postanowieniu przedstawicieli osadników nowozelandzkich.

(Dokończenie nastąpi.)



— W roku zeszłym zapisaaliśmy na tem miejscu ukazanie się dziełka pod tytułem „Ogólne wiadomości o świecie,” którego autorem był p. M. Heilpern. Dziełko to miało ogólniejszy tytuł „Tajemnice przyrody,” i pod tym tytułem ogólnym ukazuje się obecnie druga książeczka, mówiąca o tem „Jak żyją rośliny, jak się odżywiają, rosną, rozmnażają i poruszają,” co wszystko razem stanowi kurs morfologii i fizjologii roślin, bardzo popularny przez swą systematyczność i jasność układu.

Opracował go także pan Heilpern, który, mówiąc o tej botanice w przedmowie „Do uczących,” ostrzega, że książka jest przeznaczona dla młodzieży znacznie dojrzalszej, niż ta, dla jakiej napisał „Ogólne wiadomości o świecie.” Wymaga ona bowiem od

czytelnika nie tylko głębszego wnikania w przedmiot, ale i odpowiedniego przygotowania naukowego. Dziełko odpowiednie jest dla uczniów żądnych wiedzy, a także i dla samouków. Odpowiada zaś przeznaczeniu swemu doskonale. Prowadzi ono ucznia od najelementarniejszych wiadomości coraz dalej, z niezachwianą systematycznością i ścisłością, po drodze prawdziwie naukowej, zdaleka od szczegółów suchych, od drobnostek, które niegdyś w wykładzie botaniki przeładowywano umysły, z małą korzyścią dla wiedzy, a częstokroć ze szkoda uczących się.

Tekst książki znajduje objaśnienia (a przynajmniej znaleźćby je powinien) w 282 rycinach, które dobrze odpowiadały temu celowi, gdyby były odbite starannie i wyraźnie.

Dziełko o którym mowa, wydane nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki, w chwili obecnej stojącej na czele wydawnictwa (edytorstwa) krajowego, zaleca się uwadze ogółu czytających wysoką wartością swą i wróżyć się zdaje, że zczasem jego autor z bogaci literaturę całkowitym kursem przyrodoznawstwa, do czego posiada wszystkie warunki.

— Taż sama księgarnia puściła świeżo w świat tłumaczenie bardzo pięknej książki Edmunda Amicisa p. t. „Ze szkoły i z domu.” Na kartce tytułowej pomieszczono informację, objaśniającą że książka przeznaczona jest „dla rodziców i nauczycieli,” że więc nie jest to czytanie dla dzieci, jakby z tytułu wnosić było można. Treść przekonywa, że tak jest istotnie. Mówi się tu dużo o dzieciach, o uczniach szkolnych, o złych i dobrych stronach szkoły i wychowania, ale dzieci, jako czytelnicy, nie bardzo rozumiałyby o co tam chodzi. Rodzice i nauczyciele tymczasem, w tych wizerunkach, niewątpliwie pochwyconych z natury, znajdują nauczające malowidło usposobień, temperamentów, skrzywień i zбочeń od prawidłowego rozwoju. W oryginale autor dał swej książce napis „Z pamiętnika chłopca,” nie starając się bynajmniej o pedagogiczne jej przeznaczenie, któremu ona w części przynajmniej czyni zadosyć. Jest istotnie zbiorem nowel, osnutych na dobrze pomyślanym wątku, w których zawsze potrąca o sprawy szkoły lub wychowania. Obrazki te, wykonane z ekspresją zdolnego malarza, starającego się o prawdę i naturalność, i poza celem wychowawczym mają swą rzeczywistą wartość, jako dzieła sztuki.

— W dziale kalendarzy ukazały się świeżo „Kolegda” dla gospodyń, pani Lucyny Ćwierczakiewiczowej, i „Kalendarz powszechny” — oboje na rok 1893 — wydawnictwa dobrze i oddawna znane, a w treści swej przynoszące sporo materiału literackiego, zbratanego ze zwykłym balastem kalendarzowym. W „Kolegdie,” obok obszernego działu rad i wskazówek gospodarskich, idących tu z pierwszego źródła, bo z pod pióra swojej redaktorki, a najdzielniejszej gospodyni w kraju — część literacka, przeważnie beletrystyczna, wraz z kilkoma tłumaczeniami i przedrukami podaje nowość w postaci jednoaktówki pod tytułem „Spaliło na panewce” F. Lanczego i zbiorów utworów poetyckich. „Kalendarz powszechny,” najprzystępniejszy ze wszystkich ze względu na cenę, posiada sporą wiązkę prac literackich i informacyj, a także i humorystki ilustrowanej.

Rz.

SYBILLA.

POWIEŚĆ

przez

F. C. Philips i C. J. Wills.

PRZEKŁAD

Zofii Grabowskiej.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

Arma virumque cano.

Jeśli powiemy, że Jerzy Drummond cierpiał wielkie udrczenia w podróży do Afryki, będzie to słabym obrazem tego, co przechodził ten nieszczęśliwy młodzieniec. Po pierwsze kuchnia była zła, a pogoda jeszcze gorsza. Następnie towarzystwo było też bynajmniej nie odpowiednie. Biedny chłopiec w żaden sposób nie mógł się żyć z wychodźcami, nie przez pychę niedorzeczną, ale z powodu, że nie chcieli z nim mówić. Odstępowała ich ta zbrodnia nie do wybaczenia, że był gentlemem.

— Jakim prawem on i podobni jemu znajdują się na okręcie emigracyjnym? — pytali.

Nie był im na nic przydatny, nie pił, nie grał, przytem był dbały o siebie i o swą odzież, więc jakże mogli sympatyzować z takim pasażerem? Gdyby Jerzy przyłożył rękę do serca i powiedział:

— Wyszedłem tylko co z galer; przyjaciele wyprawiają mnie do Afryki.

Przyjętoby go z otwartymi rękami; ale ponieważ nie mógł powiedzieć tego, mówiono o nim zawsze „ten natręt” i faktycznie on także był zsyłany do Coventry.

Nakoniec podróż skończyła się. Jerzy stanął na ziemi obiecanej i prosto udał się do punktu zbornego robotników; postanowił bowiem oszczędzać swój fundusz, pragnąc jak najdłużej zachować go nie-
tkniętym. Kolonialni farmerzy rozchwytywali rolników; wyrzutki społeczeństwa londyńskiego, tak mężczyźni, jak i kobiety ubywali zwolna, ale także jakoś ubywali. Jerzego nikt nie chciał. Wieczorem trzeciego dnia sam jeden z emigrantów został na punkcie zbornym.

— Zapewne szczęście odwróciło się od ciebie — rzekł gospodarz budynku podobnego do stadoły. — Naturalnie możesz tu siedzieć, dopóki będziesz miał parę groszy dziennie, żeby zapłacić za żywność i pomieszczenie; ale ja na twoim miejscu zebrałbym się na odwagę i spróbowałbym szczęścia w mieście. Są tu bilety do przejazdu. Z miny twojej widzę, że cię stać na to, więc dlaczego nie miałbyś trochę przyjrzeć się życiu? Dla takiego człowieka, jak ty, będzie dosyć czasu postarać się o zatrudnienie, gdy wyda wszystkie miedziaki. Cemu nie miałbyś pohulać? Powiem ci otwarcie, że niewarto siedzieć na tej stacy i kwasieć się. To się nie zda na nic. Pojedź do miasta i zabierz mnie ze sobą, oprowadzę cię po całym i kto wie, czy nie dostaniesz tam dwa razy prędzej roboty, aniżeli tutaj!

— Czy miarkujesz, że mnie tu nikt nie wynajmie? Jestem młody, silny i nie dumny, jałbym się każdego zajęcia.

— Daremnie byś chciał zostać tu zemną. Za wielki pan z ciebie. Nie zdziwiłbym się, gdyby cię kolonia wyrzuciła za kilka miesięcy. Tu patrz nieufnem okiem na eleganta, który ma zawsze umyte ręce. Wolno ci przyjąć moją radę, albo nie, ale to nie jest hotel, a jam nie sługa hotelowy. Ja jestem w służbie rządowej. Jeśli zostaniesz tu, no, to zostaniesz, a ja będę ci dostarczał codziennie żywności i odzieży; ale jeżelibyś chciał rozejrzeć się trochę po mieście, jestem do usług twoich.

Jerzemu pozostawało tylko pójść za jego radą. Nie miał chęci być pewnego rodzaju Robinsonem Crusoe na punkcie zbornym, chociażby nawet otrzymywał codziennie artykuły spożywcze; oddał się więc w ręce kolonisty i we dwóch brnęli przez straszliwe pustkowie, pokryte murem czerwonym, jakie siedem mil, do Georgetown.

— Możemy zagrać w bilard — rzekł kolonista, gdy się wgramolili na górę, do domu z dylów, z którego wychodząca woń zdradzała, że tam sprzedają trunki gorące.

— Każ co podać — powiedział sługa rządu kolonialnego.

Jerzy, pokonywając w sobie wstręt, zażądał trunku jakiegoś dla siebie i towarzysza. Potem zagrali partią bilardu, potem drugą, potem trzecią. Narzeczcie cicerone Jerzego cisnął kij z niesmakiem.

— Dziwny z ciebie człowiek — rzekł, — chciałeś się wynająć, a przecież możesz mieć ładny dochód z kul. W całym Georgetown nikt ci nie wyrówna — dodał z mimowolnem uszanowaniem; — prawie wszystkich nowicjuszy zgrywałem, ale ty mógłbyś mi dać osiemdziesiąt for na sto i jeszcze byś mnie pobił na głowę. Sam inspektor King, który z nas wszystkich jest najtęższym graczem, nie poradziłby tobie.

W tej chwili wszedł do sali bilardowej jakiś otyły mężczyzna z uczciwym wyrazem twarzy, mogący mieć około czterdziestu pięciu lat.

— Pracujesz uczciwie na kawałek chleba, jak zwykle, mr. Mogg? — zapytał inspektor, gdyż był to on właśnie.

— Nie, sir, brałem lekcję. Tym razem rzecz się ma odwrótnie. Ten gentlem jest niejako fachowcem.

— Nowy kamrat zapewne — powiedział mr. King żartobliwie do Jerzego. — Miałbyś pan chęć na partyjkę? — dodał.

Drummond przystał chętnie. Grał z inspektorem z równymi szansami; dawał mu dwadzieścia, dawał pięćdziesiąt for, ale zawsze pobił go z łatwością.

— Przestań pan tracić czas. Nieodpowiedni ze mnie gracz dla ciebie — rzekł inspektor, gdy skończyli trzecią partię.

— Prosiłbym, żebyś pan stracił chwilę swego czasu dla mnie — powiedział Jerzy.

— Jeśli pan będziesz łaskaw pójść aż do mojej kancelaryi, tom gotów do usług.

Wyszli obaj z sali bilardowej, a mr. Magg rozpoczął przyjacielską partyjkę z markierem.

— Czy pan nie mógłbyś mi pomóc w wyszukiwaniu jakiego zajęcia, inspektorze? — powiedział Drummond z pewnem niepokojem do swej nowej znajomości. — Wylądowałem tu już przed trzema dniami, a żaden pracodawca nie chce spojrzeć na mnie. Powiadają że zawielki gentlem — dodał, rumieniąc się nieco.

— Czy pan w samej rzeczy chcesz tu pracować?

Jerzy skinął głową.

— Znasz się pan na gospodarstwie rolnem?

— Nie mogę się tem pochwalić.

— Próbowałeś kiedy paść trzody, albo rzezać bydło?

— Nie — odpowiedział Jerzy z westchnieniem.

— Posiadasz pan jaki fach?

— Niestety, nie.

— Daruj, sir, nie chciałbym cię obrazić... ale... coż potrafisz robić?

— Jeżdżę dobrze konno.

— To niewiele, ale zawsze coś.

— Otrzymałem przyzwoitą edukację.

— Coż nam po niej? — odparł krótko inspektor.

— Mówię trochę pofrancusku.

Mr. King wstrząsnął głową.

— Gram dobrze w bilard, jak pan widzisz.

— Jest tu tylko jeden stół — zgryźliwie rzekł inspektor, — i markierowi płaci się trunkami i żywnością.

— Znam się doskonale na mustrze; odbywałem ćwiczenia wojskowe w kolegium wojskowym w Anglii i słuchałem wykładów taktyki wojennej.

— Wszystko to nic niewarte — powiedział inspektor wzgardliwie. — Na kije umiesz się bić?

— Jako tako.

— Próbowałeś kiedy rękawic, sir? — rzekł znowu inspektor i uśmiech rozweselił jego uczciwą twarz.

— Celowałem w rękawicach.

— A więc słuchaj, sir — przemówił mr. King bardzo uroczyście, — jeżeli zechcesz ćwiczyć się ze mną w jednym i drugim, to nie staraj się o bilet. Damy ci trzydzieści szylingów tygodniowo natychmiast w policyi tutajszej. Rozejrzyj się wkoło siebie i gdy poznasz trochę kolonię i natrafisz na coś lepszego, no, to będziesz mógł wziąć. Nie miałem jeszcze tak dobrego partnera, odkąd jestem w tej kolonii. Będzie to wielką grzecznością z pańskiej strony, jeśli zechcesz potykać się ze mną chwilę kijami, przed śniadaniem. Naturalnie, jeśli pan raczysz przyjąć śniadanie.

Tu inspektor zdjął wiszącą na ścianie parę kijów i podał ją Jerzemu z uśmiechem.

— Nie jesionowe, sir — tłumaczył się, — ale bardzo mocne, bo z krajowego drzewa zrobione. Przyjmij je, drogi sir; przypomną ci dawne czasy, kiedyś staczał prawidłowe walki. Mnie nie zdadzą się na nic. Łamię tylko końce.

— Będę z nich korzystał z wielką przyjemnością.

— A więc bądź pan łaskaw iść tędy — powiedział inspektor poufnie. — Widzisz, jeśli przypadkiem zwalczysz mnie, będzie to złym przykładem dla konstablów i tych wszystkich gapiów, co się tu włóczą. Ale mamy podwórko od tyłu, bardzo wygodne i całkiem prywatne, jeśli zatem nie masz pan nic przeciw temu, to możemy zdjąć tu odzież z siebie, a potem zacniemy szermierkę z rękawicami, jeżeli zechcesz zrobić mi ten zaszczyt.

Wydobył parę starych i twardych jak róg rękawic do boksowania się, wziął dwa kije pod pachę i zaprowadził gościa do prywatnej zagrody w barakach policyjnych. Nie tracąc czasu na zbyteczne przygotowania, od razu przystąpił do rzeczy. Była to stara historia, zręczność przeciwko sile.

Inspektorowi było tak źle w rękach Jerzego, jak nieszczęsnemu Rodrygowi Dhu w rękach bardziej uczonego Fitz Jamesa.

— Klask! plask! trzask! łup! cup! — wszystkie te odgłosy odbijały się o biedną osobę inspektora King z policyi kolonialnej.

Szermierze spauzowali, żeby wciągnąć w siebie powietrze, a inspektor tarł sobie łokieć.

— Trafieś, sir — rzekł, — trafieś nakoniec. Uderzyłeś w samą kość. O Boże — ciągnął dalej, rozcierając sobie łokieć z przyjemnością, — jakież to miłe wrażenie! Gdybyś był chciał, sir, mogłeś mi roztrzaskać głowę ze sześć razy.

— Wyszło ci to z użycia, inspektorze — powiedział Jerzy, chcąc pocieszyć przeciwnika.

— Nie o to chodzi, nie o to! — odparł mr. King, — rzecz w tem, że natrafił na równego sobie a raczej na wyższego od siebie. Napotkałem mistrza, a to zawsze wychodzi człowiekowi na dobre. Widzisz, sir, ja się tu muszę sam ćwiczyć w walce na kije i było to dla mnie chlubą i radością, że mój pobił całą tę hałastę; czułem, że mi z każdym dniem przybywa trochę fanfaronady. Ale pan oddałeś mi ogromną przysługę i jeśli nie przeczytasz tego za zbyt wielką łaskę ze swej strony, to chciałbym bardzo, żebyśmy się wypróbowali trochę z rękawicami. Jam prawie o dwa kamienie cięższy od ciebie, sir, ale już mniej zwinny, niż dawniej. Jednakże, zdaje mi się, że dotrzymam placu, a rękawice mają tę wyższość nad kijami, że ich nie można upuścić; prawda, że nie można? Oszczędzałeś mnie w walce na kije, wiem dobrze, i będziesz bardzo grzeczny, jeśli tak samo zechcesz być ostrożny z rękawicami.

— O, bądź pan pewien, że zrobię wszystko, co się tylko da.

XIX.

Jerzy postanawia oddać się zajęciom pasterskim.

Inspektor znikł w barakach policyjnych i powrócił z grubym ręcznikiem i cebrzykiem wody, poczem obaj wsunęli ręce w te spartańskie rękawice i uczoną metodą zaczęli nawzajem nacierać na siebie.

Trzebaby pióra specjalnego kronikarza tej brytyjskiej rozrywki, jednej z najzdrowszych i najbardziej męzkich, żeby opisać, jako pomiędzy młodym Drummondem a inspektorem nastąpił zaciekle bój; jako inspektor dawał razy z rozmachem; jako razy te były potężne; jako, gdyby dotykały Jerzego, to zostałby zmiażdżony; jako te silne razy, dziwnym sposobem, zawsze chybiały celu; jako Jerzy tańczył przed mr. King, odpierając jego zabójcze ciosy lub zgoła ich unikając, jako od czasu doczasu przechylał głowę nabok, a inspektor uderzał silnie w powietrze; jako ze straszliwie monotonnym łoskotem rękawica Jerzego spadała na to, co doktorzy nazywają organem powonienia, a pisma poświęcone sportowi „trąbą” inspektora King. Prawdę mówiąc, nie miało to żadnego znaczenia, co inspektor King robił, czy mierzył w Jerzego silnie, czy godził w głowę lub w korpus, czy uderzał w górę, czy w dół, czy używał prawej czy lewej ręki, — rezultat był nieodmiennie zawsze ten sam: Jerzy wychodził cało. I nacieranie i wszelkie ataki, czy jak tam nazwać to, zawsze kończyły się tem, że jego pięść, pokryta rękawicą, spadała na wspomniany powyżej organ, urozmaicenie było tylko w sile napominającego uderzenia, które godziło w inspektora; bo Jerzy był miłośnikiem, ale niezawsze łatwo być miłośnikiem względem przeciwnika, który mierzy w nos ze wszystkich sił.

— Jeśli mnie tylko złapie, to z pewnością uderzy wciągu przyszłego tygodnia — myślał chłopak, gdy wściekle razy inspektora migały przed jego twarzą.

Tak więc, stopniowo, we własnej obronie, Jerzy dopuszczał, by inspektor rzucał się wściekle na jego wyciągniętą pięść i chociaż nos inspektora stał się rażąco czerwony i tak był błyszczący, że wyglądał jak olbrzymi okaz śliwki Victoria, jednakże udało mu się uderzyć mocno korpus i zlekka obetrzeć ucho umiejętniejszemu odeń Jerzemu.

W obronie własnej Jerzy był zmuszony położyć koniec walce; inspektor skoczył naprzód. Jerzy wywinął się i zaledwie się wywinął, znikł z widnokręgu inspektora King.

Słuszność każe dodać, że się ukazał potem w blasku tryumfu. Istotnie, ognie sztuczne w Pałacu Kryształowym niczem były w porównaniu z temi, jakie King ujrzał, gdy pięść Jerzego spadła na jego nos poraz ostatni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



— Czy widziałeś już „Flirt?”

— Ba, albo raz! Znam oddawna tę sztukę szepiania za wachlarzem, półśmiejchów pełnych... półowicznego znaczenia, półsłówek puszcanych na wiatr, a wystarczających do tego, aby miłość, wiara i nadzieja zawracały w głowach nietęgich i w słabych sercach.

— Ależ ja się pytam o „Flirt,” uważasz, przez duże F., o sztukę konkursową, która przez dni kilka z rzędu zapełniała teatr!

— Tego nie znam. W kasie teatralnej nie mogłem dostać biletu, a od posłańca nie chciałem go wziąć, choć „służył” mi nim za podwójną tylko cenę.

— Żałuj, pyszna sztuka! Powinnyby jej wysłuchać wszyscy ci, co z miłości robią sobie igraszkę, uczucia ludzkie rzucają na poniewierkę i w rachunku sumienia mnożą pozycje długu, niełatwego do spłacenia. Sztuka wesoła, miejscami smutna, dowcipna, miejscami rubaszna, zajmująca, miejscami blada... ale publiczność bawi się na niej wybornie.

— Poczekam z jej zobaczeniem, dopóki posłańcy nie obniżą cen. Nastąpi to zapewne niedługo.

— Oho, nie tak prędko, bo teraz kolej na sztukę następną — a potem znów na nową, aby kontyngens konkursowy podany został szybko, wykwintnie i świeżo.

— Kto jest autorem „Flirtu?”

— Dotąd to zagadka, rozwiązana jedynie w domysłach sędziów konkursowych. Wszyscy o tem mówią, ale nikt nie twierdzi na pewno. Można się omylić i lepiej być względny. Ale to się na długo nie ukryje. Skoro osądzimy sztuki...

— Jakto, i ty jesteś sędzią?

— Ja, ty, my, wy, oni, wszyscy piastujemy godność wyrokujących... na zasadzie...

— Bardziej jej ciekawy!

— A no, na zasadzie, że to lub owo podoba nam się, a co innego nie. Wszak sztuka jest dla publiczności, dla mas, dla ogółu! Jesteśmy ostatnią instancją, wyrokującą bez apelacji. Mamy prawo miecza, bo zapewniamy salę, albo od niej stronimy.

Tego rodzaju gawęd pełno teraz wszędzie. Kto tylko był w teatrze i sztukę widział, sądzi ją, wyrokując o niej, i to z zupełną powagą. Zapomniał o zupełnie o oklaskach, sypanych przez masy farsom, lichym produkcjom ogródkowym, tłustym konceptom spółek autorskich, o klacie paradyzowej, o stronnictwach tych lub owych aktorek i aktorów, bo uwierzono iż gromada jest naprawdę „wielkim człowiekiem.”

Co do mnie, pamiętam wybornie koncerty kompozytorskie Moniuszki, który z nich wychodził z gorącem w sercu i bólem w duszy. Nie zapomniałem wcale, że „wielki człowiek” nie wie dotąd, gdzie leżą kości Mozarta, że twórcom arcydzieł pozwolił umierać z głodu, że jak ćma pędzi na oślep ku fałszywemu blaskowi reklamy, że zawzięcie oklaskuje każde c górne tenorów, krzykiem maskujących nieuczucie artystyczne, i że ma równą dozę zachwyty dla amazonek cyrkowych i dla... Szekspira.

Powiecie mi zapewne, że kto chodzi do teatru, ten nie bywa w cyrku i że w masach znajdują się także znawcy. Bardzo być może! Ale w teatrze bywają i tacy, którzyby radzi na cyrk go zamienić, a znawcy najmniej klaszczą, najmniej bisują i najmniej wyrokuje o sztuce — dla tej prostej przyczyny, że wiedzą doskonale, iż „*nec Hercules contra plures*.”

Nie trzeba przeto nazbyt ufać opinii mas, która zawsze idzie ręką w rękę z upodobaniami chwili, z gustem dobrym czy zepsutym, z reklamą głośną i oślepiającą zdrowy sąd tych, co go na żadnych fundamentach opierać nie umieją. „Wielki człowiek” idzie zawsze za modą, z prądem ogólnego skażenia, często wbrew najwidoczniejszej prawdzie; bywa kapryśnym dzieckiem, rozpieszczonym wyrostkiem, ale dojrzałym mężem... niezmiernie rzadko. Gdyby też pamiętano, ile arcydzieł na długie lata zapomnienia oddał, od ilu z niechęcią się odwrócił, ile miernot na świeczniku postawił, ilu fałszywym bogom się kłaniał, ilu szarlatanów złotem osypał i ilu zdań własnych wstydić się i wypierać musiał, — nie powoływanoby go na sędziego.

Jeden, jedyny wniosek, do jakiego prowadzi takie lub inne zachowanie się publiczności względem sztuki, zawiera się w tych słowach: „to się jej nie podobało.” Nie podobało się zaś dzisiaj, a może podobać jutro lub za rok, a w tej chwili, jak i potem, mogło się nie podobać arcydzieło, mogła się podobać fuszerka.

Wprawdzie niema obawy, aby w tym konkursie publicznym szło o wyrok, przyznający niepowrotny upadek, lub trwanie wiekuiste, ale o cokolwiek idzie, nie należy się łudzić, iżby wyrok mógł być sprawiedliwy. Ma on znaczenie tylko wobec chwilowego, natychmiastowego niepowodzenia, lub przeciwnie. „Wielki mąż” klaszcze dzisiaj temu, czemu jutro gwizdać może, lub potępia to teraz, co go potem oczaruje. Zależy to wyłącznie od podmuchu tego zefirka, który zwie się... duchem czasu, prądem chwili.

W błędzie są ci, co wierzą, iż sztuka wogóle jest wytworem obecności wyłącznie i niczego więcej. Jest ona całością, na złożenie której pracowały wieki. Ma swoje podwaliny, ma swoje mury, sięgające coraz wyżej, z drobnych cegiełek, dorzucanych przez pokolenia, a mury te rosną wciąż ku górze. Jednolitość to zupełna, niby mozaika różnobarwna, na ogólny obraz złożona. Pojedyncze dzieła, i dzieł tych szeregi i szeregi tych warstwy całe, to logiczny wytwór ustawicznego rozwoju, który ma swoje prawa, swój porządek, swoje następstwo. Nie można oceniać cegiełek, nie odnosząc ich do całości, ani sądzić ducha utworów, nie wiedząc, jak

się w nie wcielił. Pogląd mas na sztukę jest zawsze jednostronny, częściowy, jednostronny i przechodni — zawsze tedy fałszywy. Jest sądem ślepego o kolorach. Zdanie: „to mi się podoba” tyle jest warte dla artysty, ile wart jest gust, poczucie i wykształcenie człowieka, który je głosi.

Nie należy się tedy bardzo chlubić godnością „sędziego” w obecnej aferze konkursowej. Skomplementowano nią publiczność — oto wszystko. Komplement zgrabny — ani słowa — mianowicie zaś dla tych, co się na nim poznać nie umięją...

Bądźcobądź, na nudną, szarą, dokuczliwą jesień rozrywka wcale miła. Jest to pora najodpowiedniejsza dla wszelakich wrażeń artystycznych. Sztuka ma bowiem swoje promienie, które wnoszą światło i ciepło do serc ludzkich, wyzbyły od wilgoci i poświstów wiatru. Zwracamy się ku niej najchętniej teraz i szukamy jej wszędzie: w teatrach, na koncertach, na wystawach. Wszędzie też bywa pełno, nawet na popisach prestidigitatorki, wskrzeszającej spalone dwudziestopięciorublowki ku wielkiemu zachwytowi tych, którzy już nigdy puszczonej raz fortunki nie wskrzeszą, i na nadzwyczajnych produkcjach człowieka bez rąk, umięjącego palcami u nóg dłużyć w nosie z wprawą, którejby mogły pozazdrościć wychodzące dłonie wielu z naszych... pracowitych.

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* Pierwszy śnieg upadł w Warszawie w sobotę zeszłego tygodnia i padał przez cały dzień, z zaciętością zimową. Pokrył dachy na parę cali, leżał też długo na ulicach i choć jeszcze zieloność w ogrodach nie zniknęła, wszystko pokryło się pozorami zimy. W całej Europie środkowej, ciągnąc przez okolice południowo-zachodnie, przez dni parę sypały obfite śniegi. Temperatura też, przy rannych przymrozkach, obniżyła się znacznie. Słońce jednak i ciepło nie chcą dać dotąd za wygraną, a w sąsiedniej Austrii spodziewają się jeszcze pięknej pogody, która podobno podczas walnego winobrania nigdy tam nie chybia. Bardzo być może, że cząsteczka jej i nam się dostanie.

* Obowiązki prezydenta miasta Warszawy, po dymisyonowanym generale S. Starynkiewicz, objął już generał Bibikow.

* Wystawa szkiców, zapowiadana przez Salon artystyczny, ma być otwarta nieodwołalnie w dniu 26 miesiąca przyszłego.

* Zbiór obrazów i szkiców zmarłego niedawno malarza Wiesiołowskiego wystawiony został na widok publiczny w salonie Towarzystwa sztuk pięknych. Część tego zbioru przeznaczono na sprzedaż, reszta stanowi własność prywatną. Największym obrazem wśród niego jest płótno, wyobrażające śmierć Ludgardy, dzieło doprowadzone zaledwie do połowy, a zapowiadające się bardzo dodatnio.

* Zbiór prac malarskich artysty Podkowińskiego znajduje się od Piątku na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych. W pracach tych widnieje impresjonizm domorosły, polegający na zasadzie takiej: naturę skrzywić, a z siebie nie dać nic, a przytem wpierać w publiczność, że to co widzi nie jest tem na co patrzy, ale czemś zupełnie innem, a zobaczy dopiero to co być powinno, jeżeli nie zechce

widzieć tego, co jest. Dzięki też naszym „mistrzom” impresjonizmu, ukazują się ich epigony, których dzieła zbyt łaskawy komitet wystawy przyjmuje... przez grzeczność czy ze strachu — nie wiemy. Ale to pewna, że pod niektórymi względami wystawa staje się przez to śmietnikiem.

* Konkursowa sztuka „Flirt” wystawiona została zeszłego poniedziałku na scenie teatru Rozmaitości, wobec doszczętnie zapełnionej sali widzów. Następna sztuka konkursowa, p. t. „Szare życie,” przygotowuje się na dzień 7 Listopada. O „Flircie” damy wiadomość szczegółową za tydzień.

* W Hawrze zmarł temi czasy dr. Ks. Piasecki, wskutek nadmiernej pracy przy ratowaniu osób zapadłych na cholere. Ojciec tego lekarza, medyk również, niegdyś profesor fakultetu w Montpellier, był rodzonym bratem Wojciecha Piaseckiego, znakomitego artysty dramatycznego z pierwszej połowy wieku bieżącego, a stryjem Władysława, także artysty sceny warszawskiej, zmarłego przed dziećmi laty. Rada miejska w Hawrze postanowiła jednej z ulic dać nazwę zmarłego lekarza, celem upamiętnienia jego zasług.

* Salę koncertową, któraby pomieściła 4,000 osób, ma zamiar zbudować przy placu Dzieciątka Jezus pan Devars, przedsiębiorca francuski, ma się rozumieć wtedy dopiero, gdy przeniesienie szpitala na tak zwany Folwark Świętokrzyski dojdzie do skutku. Na to jednak czekać trzeba będzie.

* Nieludzkie postępowanie Żydów w Ostrowiu względem ich spółmieszkańców chrześcian było tylko wymysłem niesumiennego korespondenta, jak to wykazało śledztwo urzędowe. „Warszawski Dziennik” pisze: „W rzeczywistości było tylko to, iż w początku zarazy ujawniło się pewne ożywienie wśród Żydów, któremu towarzyszyła pijatyka zarówno z przyczyny świąt, jak i w celu dodania sobie otuchy i osłabienia strachu wobec cholery...” Pośpieszamy też skwapliwie ze sprostowaniem krzywdzącej Izraelitów wiadomości, ciesząc się serdecznie, że uczucie ludzkości nie zostało przez nich zdeptane, choć niegodne oszczerstwo wmówić w nich to usiłowało.

* Rocznicę założenia Instytutu głuchoniemych i ociemniałych obchodzili zeszłej niedzieli wychowawcy tej szkoły. Spełnienia obrządku religijnego tej pięknej uroczystości dokonał ks. T. Jagodziński, kanonik katedralny, jeden z najdawniejszych nauczycieli Instytutu.

* Czego się już nie sprzedaje! Pewien właściciel domu w dzielnicy staromiejskiej sprzedał jakiegoś agentowi berlińskiemu grupę religijną roboty snycerskiej, która niegdyś tkwiła w ścianie i stanowiła ozdobę kamienicy, a zarazem cenny zabytek archeologiczny. Mania obdzierania domów z ozdób podobnych dosyć szeroko rozpowszechniła się w dzielnicy wspomnianej, z wielką szkodą jej starożytniejszej charakterystyki.

* Pomysłowość autorów teatralnych francuskich, a mianowicie twórców fars, bywała dotąd niewyczerpana, w obecnej chwili jednakże pewien symptomat zdradza, że zapanowała w niej rozpaczliwa pustka i że musi się ona ratować konceptami, przechodzącymi miarę możliwości. Oto w świeżo wystawionej krotchwili autor wprowadza na scenę bohatera sztuki w stroju... kąpielowym, idzie mu bowiem o przekonanie kogoś, że ten pan wcale kaleką nie jest i obchodzi się bez gorsetu i waty. Scena sprawiła sensacją kolosalną, a jeszcze kilka scen takich, a teatr znajdzie grób niezawodny, dzięki dowcipowi i pomysłowości autorów.

* „Lutnia” w Łodzi, jak się o tem dowiedziano ze sprawozdań, odczytanych na zebraniu odbytem

w dniu 20 b. m., liczyła do tego dnia 53 członków czynnych i 105 zwyczajnych, na balotowaniu zaś tajem, przy końcu zebrania, przyjęto nowych członków 83, spośród których 32 czynnych. Stowarzyszenie miało dochodu z ostatniego półrocza rs. 420 (wpisy i składki), remanentu zaś z poprzedniego półrocza rs. 132, czyli dochodu ogólnego rs. 552, wydatków zaś rs. 343. Po wyczerpaniu porządku dziennego zebrania zaprojektowano, aby na pierwszy koncert „Lutni” łódzkiej zaprosić „Lutnię” warszawską, a także i prasę tutejszą, i zjazd ten uczcić wieczerzą składkową w salonach „Grand Hotelu.” Projekt popisu na cel dobroczynny upadł, „Lutnia” bowiem zbyt jest młoda, aby popisywać się publicznie mogła. Tymczasem uczyć się będzie i popisywać u siebie, tylko u siebie i w obec stowarzyszonych. Słusznie.

* Nową maszynę do liczenia obmyślił w Paryżu Leon Bolé. Maszyna dokonywa wszelkich działań rachunkowych z wielką szybkością, do pomnożenia bowiem na przykład liczby dwudziestocyfrowej potrzebuje tylko pół minuty. Jest jednak bardzo kosztowna i niezmiernie złożona (z 3,000 oddzielnych części), wymaga przytem gruntownego oznajomienia się ze swoją czynnością i łatwo ulega zepsuciu. Ma się rozumieć, że czasem zyska na uproszczeniu i wytrzymałości.

Redakcyja „Tygodnika mód i powieści” przyjmuje interesantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

Zbiorowe wydawnictwo powieści obyczajowych humorystycznych

Alberta Wilczyńskiego,

autora

„Kłopotów Starego Komendanta,”

tomów 20, które z przesyłką pocztową kosztowały rs. 14, dla prenumeratorów „Tygodnika mód i powieści” **zniżamy na rs. 9.**

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie		Na prowincyi	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —.
Półrocznie . . .	rs. 2.	Półrocznie . . .	rs. 2 k. 50.
Kwartalnie . . .	rs. 1.	Kwartalnie . . .	rs. 1 k. 25.

Adres: Redakcyi ulica Chmielna № 26.

Numer 44 wyszedł z druku i zawiera:

Przygoda młodego myśliwego (z drzeworytami). — Pogadanka naukowa: woda. — (z drzeworytem). — Żeglarz nad żeglarze, opowiadanie zprzeczystu, przez Michała Synoradzkiego (z drzeworytem). — Talizman. — Ze świata. — Z pobytu Henrysia na wsi (z drzeworytem). — Lekarstwo na nudy (wiersz). — Podarek Heluni. — Opowiadanie o pewnym królu i trzech jego synach. — Do jaśkółki (wiersz). — Odpowiedzi od redakcyi. — Łamigłówni.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

PŁÓTNO KNEIPPA,

224 3-6

CZYSTO LNIANE, BARDZO TRWAŁE, ZAPOBIEGA POCENIU SIĘ I ZAZIĘBIENIU.

Specjalna pracownia bielizny męskiej i damskiej pod osobistym kierunkiem właściciela.

WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ W SKŁADZIE BIELIZNY

J. BILLING

129 Marszałkowska 129

firma istnieje od 1876 r.

SKŁAD FUTER

TYTUSA KOWALSKIEGO,

ulica Senatorska Nr 10, w Warszawie.

Poleca **Futra damskie** w najświeższych fasonach. **Mufki, Kołnierze, Boa i Czapeczki** futrzane. **Futra męskie, Czapki i Kołnierze** futrzane. **Dachy** oraz **Marynarki i Surduty** specjalnie do polowania. **Blamy** z wszelkich futer w szczególności **popielicowe** od rs. 15. **CENY UMIARKOWANE.**

Uznane przez Radę Lekarską w Warszawie i Departament Medyczny w Petersburgu, potwierdzone przez p. Ministra S. W.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH SŁODOWY EKSTRAKT I KARMELKI

z Miodu, Słodu i Ziół leczniczych.

Nagrodzone na wystawach higieniczno-lekarskich w Warszawie, Krakowie, Lwowie i na Środkowo-Azjatyckiej w Moskwie.



Fabryki **„LELIWA”** w Warszawie, ulica Zgoda Nr 6.

Wyłączna sprzedaż w Aptekach i Składach aptecznych.

Strzedz się podrabianych i naśladowanych.

Zwracać uwagę na firmę na opakowaniach.

FORTEPIANY, PIANINA

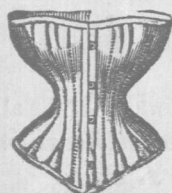
ORGANY.



Krucza Nr 8.

Fabryka Gorsetów „AURORA”

przeniesioną została z ulicy NIECAŁEJ Nr 6 na tę samą ulicę Nr 11 (hotel Brühlowski w Warszawie).



Przy tej sposobności Sz. Panie, zaszczycające mnie zamówieniami z prowincji, raczą przyjąć objaśnienia, jak brać miarę na gorsety. Najlepiej wprost na figurę na staniczku. Objętość w piersiach, pasie, biodrach i długość z pod pachy do pasa. Miary nie należy zmniejszać, gdyż my sami stosownie zmniejszamy. Dbając o dobre imię swej firmy z całą sumiennością zamówienia załatwiamy. Gorsety zwyczajne na fiszbinach od rs. 3, higieniczne na włosiu od rs. 6, dla ułomnych od rs. 5, balowe ażur angielski od rs. 6, balowe ażur francuski od rs. 12, atlasowe od rs. 10. Leniuszki rozmaitych fasonów, szelki do prostego trzymania się, gorsety na odmienny stan, gorsety do karmienia, pasy, sznuróweczki i t. p. dokładnie wykonane, po cenach możliwie tanich. Dziecinnych ceny niższe. Przesyłka gorsetu z opakowaniem od 50 kop. do 1 rs.

Właścicielka firmy **STANISŁAWA TOBOLEWSKA.**

Francuskie knotki do lampek



SKŁAD M. MASZKOW

Krakowskie-Przedmieście Nr 23

(róg Trębackiej).

POLECA: Herbatę świeżą i wyborową od rs. 1 kop. 20 do rs. 4 za funt, szczególnie gatunki w cenie rs. 1 kop. 80, rs. 2, rs. 2 kop. 20 i rs. 2 kop. 60, odznaczające się wyjątkowym smakiem i aromatem. Samowary najnowszych fasonów tombakowe i mosiężne z celniejszych Tulekich fabryk. Miseczki. Czajniki. Maszynki do kawy. Noże stołowe, szczyty, miednice i t. p. Wybór znaczny. Ceny bardzo umiarkowane.

Francuskie knotki do lampek

Przygotowana i sprzedaż dozwolona na ogólnych zasadach handlu.



14314 50

WODA MEXICO Feliksa WARESKIEGO.

Niezawodny środek przeciwko wypadaniu włosów, tworzeniu się łupieżu oraz nerwowym i reumatycznym bólom głowy.

Główny Skład: przy Składzie Aptecznym, TŁOMACKIE Nr 13, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Октября 1892 г.

Druk Emila Skińskiego, Warszawa.

Za Redaktora i Wydawcę Jan Skiński.

DODATEK.

FABRYKA PLUSZU

20210 12

JAKÓBA ROTHSTADT,

ŚWIETOJERSKA Nr 36,

poleca Plusze gładkie i w desenie, zwracając uwagę na jeden lekki i cienki gatunek, nie ustępujący w niczem zagranicznemu i mogący służyć na pokrycie futer.

ZATWIERDZONA PRZEZ WYŻSZĄ WŁADZĘ

SZKOŁA MALARSKO-PRZEMYSŁOWA

DLA PANIEN

otwartą została dnia 19 Września (1 Października) r. b. w Warszawie przy ulicy Senatorskiej Nr 36 (Plac Resursy Kupieckiej).

Prócz rysunków wszelkiego rodzaju w zakres nauk wchodzi: malowanie olejne, pastelowe, i akwarelowe, malowanie gobelinów, wachlarzy, porcelany, wypalanie rysunków na drzewie (Brandarbeit), Spritzarbeit i malowanie na drzewie, naśladowanie inkrustacy, oraz artystyczne malowanie fotografii.

Zapisy przyjmują codziennie od 1-ej do 4-ej po południu w pracowni własnej Senatorska 36, w nowostawianym domu W-go Seydla.

233 3-3

ALICJA NOWIŃSKA, artystka malarka.



ZAKŁAD MECHANICZNY

I. Żelichowskiego,

Marszałkowska 123, róg Siennej w Warszawie.

259 1-8

Przyjmuje do reperacji maszyny do szycia wszelkich systemów jak również maszyny poręczne. Na składzie części zapasowe. URZĄDZA DZWONKI ELEKTRYCZNE. Ceny możliwie najniższe.

!!!Dla Kupców z Cesarstwa!!!

MAGAZYN MÓD

Fabryka Kwiatów

ANTONINY JUCHNIEWICZ,

Wspólna Nr 18, zaopatrzony w wielki wybór kapeluszy jesiennych. Kopie paryskie. Ceny przystępne. Kwiaty w wielkim wyborze.

Zatwierdzona przez wyższą władzę specjalna szkoła kroju i szycia metodą oryginalną

„WORTH'A”

Natalii Tisserant,

Wspólna Nr 24 m. 1.

Przy szkole jest pracownia Sukien, Okryć damskich i dziecinnych, w której uczenice mogą praktykować.

Przyjmuje się Pensyonarki.

11913-24

Poleca

się Sz. Paniom nowo-otworzony Magazyn Okryć Damskich **Aleksandra KONRAD**, Trębacka 13, drugi dom od Wierzbowej. Ceny najprzystępniejsze.

Przyjmuje się Pensyonarki.

14011 12

BARDZO TANIO

NOWO-OTWORZONY

skład bardzo tanich

FIRANEK

E. Mireckiej,

Krucza 23, miesz. 13.

Przyjmuje się Pensyonarki.

220 3-8

BARDZO TANIO

Ocety specjalne do marynat, stołowe i kuchenne poleca fabryka **K. Wiland**, Hoża 9, dawniej 8. Przy fabryce sprzedaż detaliczna.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **Plato v. Reussnera:**

Najlepsza Metoda

do nauczania się bez nauczyciela czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ich miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena Metody niemieckiej kurs niższy k. 60,—kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet, (oba kursa) tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, k. 75. Najlepsze Elementarze: Polsko-niemiecki lub rusko-niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami k. 35, 20 i 10. Polski z 20 wzorkami pisma, rysunków i rycinami razem 340 figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi k. 25, 15 i 4. Powiastki polsko-niemieckie 20 k. Powieści Ali-Baba i 40 zbójców 15 k. Powieści Myśliwi Giezm 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla p. k. 20. Skład gł. u autora, (Reussnera) ul. Marszałkowska Nr. 142, w Warszawie).

WYPOŻYCZALNIA (Czytelnia)

KSIAŻEK

polskich i francuskich,

przy Księgarni i Składzie Nut **Maurycygo Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika.

Pracownia ubiorów dziecinnych

H. WILKE,

z Krakowskiego-Przedmieścia z pod N-ru 15 przeniesiona na **Nowy-Swiat 62**, mieszkania 37.

233 2-6

Szkoła Śpiewu M. Horbowskiego,

oprócz wykładów śpiewu solowego w Konserwatorium i u siebie w domu, rozpoczyna również u siebie w mieszkaniu kursa operowe t. j. studyowanie całych partyj, a następnie próbowanie tychże na scenie z zastosowaniem akcyj, pod kierunkiem Matuszyńskiego reżysera opery. Nadto dla początkujących, udziela lekcye zbiorowe śpiewu solowego. Warunki na miejscu. Wspólna 2, od 3 do 5 240 2-6

Zatwierdzona przez Wyższą Władzę

SZKOŁA KROJU I SZYCIA

oryginalną metodą

„Worth'a”

1877-12 Pauliny Stokowskiej

ŚWIEĆ-KRZYŻKA 11.

Na stałe układać się można z nauką muzyki, języków, etc.

Nowość!!! Garnitury mebli w całości również Portyry, Palta, Okrycia, Suknie bez prucia i t. p.

Farbuje i Pierze Farbiarnia i Pralnia Chemiczna egzystująca od lat 30.

BEDNARSKA Nr 21 (front na parterze).

PENSYONARKI PRZYJMUJE.